

Bajkowa niania
Bajki pomagajki dla najmłodszych

Bajkowa niania
Bajki pomagajki dla najmłodszych

Skawina 2011

**Wydawnictwo pod honorowym patronatem
Burmistrza Miasta i Gminy Skawina
Adama Najdera**

© Urząd Miasta i Gminy w Skawinie

Wydano nakładem:
Urzędu Miasta i Gminy w Skawinie
Wydawnictwa Promo
Biblioteki Pedagogicznej w Skawinie

Redakcja:
Krystyna Drożdżewicz
Lidia Ippoldt

Autorki tekstów:
Lidia Ippoldt, Agnieszka Biernat, Alicja Breiter, Joanna Kuc,
Marta Jurek, Urszula Lisowska-Kożuch

Korekta:
Katarzyna Spólnik
Michał Grzeszczuk
Maciej Malinowski

Rysunki:
Magdalena Szynkarczuk

Projekt, przygotowanie do druku, druk:
Wydawnictwo PROMO
Zakrzów 346, 32-003 Podłęże
Tel./faks 12 25 00 939, tel. Kom. 502 43 13 54
e-mail: wyd_promo@tlen.pl

ISBN: 978-8360941-37-9

Publikacja wydana w ramach akcji Skawiński Tydzień Profilaktyki
pod hasłem „Bądź bliżej dziecka, uchronisz je od uzależnień”, stanowiącej element
Gminnego Programu Profilaktyki i Rozwiązywania Problemów Alkoholowych
i Gminnego Programu Przeciwdziałania Narkomanii

Spis treści

Wprowadzenie.....	9
Komputerowe królestwo Bobrusia (dla dzieci, które spędzają zbyt dużo czasu przy komputerze).....	11
Wróbelkowa telewizja (dla dzieci, które za długo oglądają telewizję).....	14
Bajka o Tonim – jęczyczu, którego pokaleczyły brzydkie słowa (dla dzieci, które używają brzydkich słów).....	17
O misiu, który bał się ciemności (dla dzieci, które boją się ciemności).....	22
W mojej szafie (dla dzieci, które mają lęk przed czymś nieznanym).....	25
Rozbrykany słonik (dla dzieci zmęczonych).....	31
Bajka relaksacyjna (dla dzieci, które spotkało coś przykrego).....	34



Pysiowy sposób na złość (dla dzieci, które często wpadają w złość).....	36
Nieśmiały aktor Tobi (dla dzieci zbyt nieśmiałych).....	39
Pikolo (dla dzieci o niskiej samoocenie).....	42
Kotek Pimpuś i doktor Igiełka (dla dzieci, które boją się wizyty u lekarza).....	49
Franek i Todzia (dla dzieci, którym urodziło się rodzeństwo).....	52
O Łatku, który unikał kąpieli (dla dzieci, które nie lubią się myć).....	60

Drodzy Rodzice!

Tym razem zwracam się do Państwa, szerokiego grona Rodziców, gdyż to właśnie od Was zależy, czy bajki, które trzymacie w rękach, dotrą do dzieci.

Ten pięknie ilustrowany zbiór bajek ma charakter edukacyjny. Naszym zamiarem było przekazanie wydawnictwa, które poprzez wspólne czytanie pomoże zaszczerpić dzieciom dobre wychowanie i empatię.

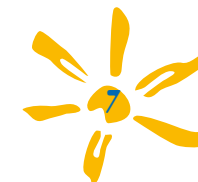
Czytanie odpowiednio dobranych książek ułatwia już w pierwszych latach życia dziecka przekazanie wartości moralnych, postaw godnych naśladowania. Uczy myślenia, rozwija wyobraźnię, zapewnia prawidłowy rozwój emocjonalny, buduje i umacnia więzi pomiędzy rodzicami a dzieckiem. Bajki i baśnie są doskonałą kanwą do budowania powyższego przekazu. Pokazują dzieciom, jak sobie radzić w trudnych sytuacjach poprzez kreowanie bohaterów, którzy wytrwale pokonują trudności, wiedzą, jak korzystać z pomocy i gdzie jej szukać.

Namawiam wszystkich rodziców, by znaleźli dla swoich pociech codziennie chociaż pół godziny na wspólne czytanie. Ten czas na pewno nie będzie stracony ani dla Was, ani dla Waszych milusińskich.

Serdecznie pozdrawiam i życzę wielu mile spędzonych chwil na czytaniu i serdecznej rozmowie.

Adam Najder
Burmistrz Miasta i Gminy Skawina

Skawina, 17 kwietnia 2011 r.



Wprowadzenie

Szanowni Rodzice, Nauczyciele, Wychowawcy,

oddajemy w Państwa ręce niewielki zbiór bajek pomagajek. Naszym zdaniem mogą się one okazać pomocne w wyjaśnianiu dzieciom wielu zjawisk, z którymi stykają się na co dzień. Mamy nadzieję, że owe bajki pozwolą najmłodszym lepiej zrozumieć świat, który je otacza, zmniejszyć bądź wyeliminować z ich życia lęki i w ogóle wpłynąć na zmianę czy poprawę zachowania maluchów. Dzisiaj dzieci narażone są na różnego rodzaju pokusy, dlatego w naszym zbiorze znalazły się bajki, które być może pomogą Państwu dostrzec zagrożenia wynikające np. ze zbyt długiego oglądania telewizji czy słęczenia nad komputerem.

Zdarza się, że dziecko w wieku przedszkolnym i wczesnoszkolnym przeżywa też rozmaite lęki, np. przed ciemnością, czymś nieznanym czy wizytą u lekarza. Nasz niewielki zbiór bajek pomagajek pomoże walczyć z tymi problemami, poprzez utożsamianie się z bohaterem przeżywającym podobne emocje. Ma także na celu poprawienie samopoczucia dziecka smutnego, zmęczonego. Na przykład bajka o złości, przeklinaniu i nieśmiałości podpowie małemu słuchaczowi, jak sobie z tym radzić.

Teksty w zbiorze bajek pomagajek przeznaczone są dla dzieci w wieku od 4 do 10 lat. Łatwo dostosować je do sytuacji (np. zamiast przedszkola może być szkoła, a zamiast brata - siostra itp.). Zachęcamy więc rodziców, nauczycieli, wychowawców do sięgnięcia po nie. A nuż bajki okażą się... „supernianią” pomocną w wychowaniu!

Jeżeli chcą Państwo wzbogacić lekturę o inne bajki, Biblioteka Pedagogiczna w Skawinie oferuje inne ciekawe zbiory tekstów dla najmłodszych.

Dzieciom życzymy miłego słuchania, a rodzicom i nauczycielom sukcesów wychowawczych.

Serdecznie dziękujemy za współpracę Specjalistycznej Poradni Psychologiczno-Pedagogicznej w Skawinie, a w szczególności pani Marcie Jurek za użyczenie tekstów, wykorzystywanych podczas zajęć z dziećmi.

Krystyna Drożdżewicz
Lidia Ippoldt



Komputerowe królestwo Bobrusia

(dla dzieci, które spędzają zbyt dużo czasu przy komputerze)

W małej, bardzo kolorowej krainie nad strumykiem żyła sobie rodzinka bobrów: mamusia, tatuś i ich mały synek Bobruś. Bobruś chodził do przedszkola i bardzo lubił bawić się z dziećmi, ale jeszcze bardziej lubił komputer. Całymi popołudniami grał na nim, nie pamiętając o niczym innym. Zapominał o posprzątaniu po sobie rozrzuconych ubranek, umyciu zębów przed snem, a nawet zdarzało mu się zapominać o przyjęciach urodzinowych swoich kolegów z przedszkola. Wszystkim było bardzo przykro z tego powodu. Smuciły się też zabawki, których chłopczyk miał bardzo dużo w swoim pokoju, a które samotnie leżały całymi dniami na półkach.

Pewnego wieczoru, gdy Bobruś już smacznie spał, zabawki zrobiły naradę. Postanowiły, że skoro boberkowi nie są już potrzebne, bo ma swój ulubiony komputer, pójdą sobie do innych dzieci, które zapewne bardzo ucieszą się ich przybyciem. Jak postanowiły, tak zrobiły. Kiedy maluch obudził się rano, zastał



w swoim pokoju puste półki. Bobruś zdziwił się nieco, zapytał nawet rodziców, czy nie widzieli jego zabawek, ale kiedy zobaczył, że komputer stoi na swoim miejscu, uznał, że niczego innego nie potrzebuje. Piłka, misie, gry, puzzle, klocki, a nawet kolorowe książeczki nie są przecież takie fajne, jak komputer. Spokojnie poszedł więc do przedszkola, myśląc, że tam pobawi się zabawkami, by po południu znów wrócić do swojego komputerowego królestwa. Jakież było jego zdziwienie, gdy okazało się, że zabawki przedszkolne także zniknęły. Panie wychowawczynie szybko wymyśliły dzieciom różne gry, ale okazało się, że Bobruś nie umiał w nie grać, a koledzy nie chcieli się bawić z chłopcem, który zapominał o ich urodzinowych przyjęciach.

Bobruś wracał tego dnia z przedszkola bardzo smutny, chociaż pocieszał się tym, że w domu czeka na niego ulubiony komputer. Wpadł więc do swojego pokoju bardzo szybko, rzucając po drodze kurtkę byle gdzie, włączył komputer i... myślał, że się rozplacze. Komputer też przestał działać. Tatuś, Pan Bóbr, obiecał synkowi, że odda komputer do naprawy, ale tego dnia było na to za późno, bo jedyny punkt napraw był już w bobrowej krainie zamknięty. Chłopiec chwilę siedział w swoim foteliku i zastanawiał się, jak może spędzić popołudnie. Chciał zbudować sobie coś z klocków, już sięgał po nie na półkę, gdy przypomniał sobie, że one też zniknęły. Bobruś wymyślił więc, że pogra z kolegami w piłkę. Poszedł poszukać ich na podwórku, ale okazało się, że wszyscy są na urodzinach u koleżanki, która nie zaprosiła tylko małego Bobrusia, bo uznała, że i tak zapomni o jej święcie. Chłopcu chciało się płakać, ale postanowił odszukać swoich przedszkolnych towarzyszy zabaw i przeprosić ich za swoje zachowanie. Znalazł wszystkich na podwórku przed domkiem solenizantki. Dzieci przyjęły przeprosiny kolegi i szybko rozpoczęły wspólną zabawę. Okazało się, że w garażu rodziców dziewczynki schowały się też wszystkie zabawki z przedszkola

i pokoju Bobrusia, które urządziły sobie tam wielki bal. Bobruś poprosił, by wróciły do niego, aby i on mógł się nimi bawić.

Teraz Bobruś codziennie po powrocie z przedszkola układa swoje puzzle, bawi się misiami, buduje domy z klocków, gra w piłkę i w różne ciekawe zabawy ruchowe. Wieczorem włącza swój komputer i bawi się różnymi grami. A na dobranoc rodzice czytają mu jedną z jego ciekawych bajek. Gdy Bobruś rano przychodzi do przedszkola, ma wiele do opowiadania swoim kolegom.

Lidia Ippoldt



Wróbelkowa telewizja

(dla dzieci, które za długo oglądają telewizję)

W małym miasteczku niedaleko Krakowa żyła sobie pewna rodzina wróbelków: mama, Pani Wróbelkowa, tatuś Wróbel i dwoje ich dzieci: Pasiék i Ćwirka. Rodzina Wróbelków mieszkała w parku na drzewie obok pięknego pałacyku. Wszyscy bardzo się kochali, ale rodzice mieli jedno duże zmartwienie: ich dzieci bardzo dużo czasu spędzały przed telewizorem. Kiedy tylko wracały z przedszkola, zaraz zasiadały na wygodnej kanapie w salonie rodziców i oglądały wszystkie bajki, aż do dobranocki.

Rodzice namawiali maluchy, żeby wyszły pobawić się z kolegami w pięknym parku albo poszły wykapać się w pobliskim basenie, czy pograły w którąś z wielu gier, ale dzieci wołały telewizję. Nawet w sobotę i niedzielę, kiedy rodzice mieli więcej czasu i chcieli spędzić go ze swoimi dziećmi, one niestety nie miały na to ochoty. Rodzicom było z tego powodu bardzo, bardzo przykro i zastanawiali się, czy to nie ich wina, że małe wróbelki tak lubią telewizor. Wymyślali więc swoim pociechom przeróżne zabawy, ale nic nie pomagało. Aż do dnia, kiedy telewizor się popsuł. Dzieci wpadły w rozpacz. Płakały i krzyczały, by rodzice szybko

naprawili ich ukochany sprzęt. Rodzice powiedzieli, że nie mają pieniędzy na naprawę, i zaproponowali, że cała rodzina pogra w jakąś grę, ułoży puzzle ze zwierzątkami lub pobawi się wspólnie w coś innego. Dzieci uznały jednak, że rodzice ich nie kochają, i wyszły obrażone do parku. Tam, na sąsiednim drzewie, spotkały sowę, bardzo mądrą głowę.

Sowa zauważyła, że dzieci są smutne i złe, i zapytała, jaki jest tego powód. Wróbelki opowiedziały pani sowie o swoim zmartwieniu i o tym, że rodzice nie chcą naprawić im telewizora dlatego, że robią im na złość. Sowa wysłuchała tej opowieści i powiedziała dzieciom, że mają najmądrzejszych rodziców na świecie. Wróbelki nie zrozumiały jednak sowy i postanowiły, że nie wrócą tak szybko do domu. Chwilę siedziały na drzewie, skąd zobaczyły bawiące się w parku inne ptaszki. Zapragnęły się z nimi



pobawić, sfrunęły więc na chodnik i chciały się włączyć do zabawy. Ale szybko okazało się, że nie mogą dogonić swoich kolegów, nie są takie sprawne jak oni i nie umieją się bawić w berka i chowanego. Wróbelkom zrobiło się bardzo przykro i pomyślały, że to może dlatego, iż zbyt dużo czasu spędzają w domu przed telewizorem, podczas gdy inne dzieci bawią się na podwórku. Wróbelki słyszały przecież często ich śmiech dobiegający z zewnątrz. Wtedy też uznały, że rodzice mieli rację, namawiając ich do zabawy z kolegami, pływania i biegania. Byłyby sprawniejsze i łatwiej dorównałyby rówieśnikom. Zrozumiały też, dlaczego sowa powiedziała, że ich rodzice są najmądrzejsi na świecie.



Dzieci radosne i zadowolone szybko wróciły do domu, ucałowały mamę i tatę na powitanie, przeprosiły ich za swoje zachowanie i postanowiły zmienić nawyki. Od tej pory codziennie po powrocie z przedszkola wychodziły do parku bawić się ze swoimi rówieśnikami, chodziły na basen, długo spacerowały z rodzicami, nauczyły się jeździć na rowerze i deskorolce.

Zadowoleni rodzice patrzyli, jak ich dzieci rosną zdrowe i wesole, a wieczorem, po całym dniu wspólnych zabaw, zasiadali z dziećmi przed telewizorem i cała rodzina oglądała dobranoczkę. Później maluchy sprzątały swoje zabawki, myły się i kładły do łóżeczek, a rodzice czytali im na dobranoc piękne bajki, spokojni, że już nie muszą się martwić o swoje pociechy.

Lidia Ippoldt



Bajka o Tonim – jęczyczku, którego pokaleczyły brzydkie słowa

(dla dzieci, które używają brzydkich słów)

Gześć! Nazywam się Toni. Jestem tym, który pomaga Tomkowi mówić: jego jęczyzkiem. Tomek lubi mówić, ja też lubię, gdy on to robi, bo wtedy ruszam się, ruszam, coraz szybciej i szybciej. Gdybym mógł, fikałbym koziołki ze szczęścia! Uwielbiam, jak Tomek mówi: mamusiu, tatusiu, kocham cię. Jestem szczęśliwy, gdy wypowiada magiczne słowa: proszę, dziękuję, przepraszam. Razem z Tomkiem jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi. Gdy chłopiec chce wypowiedzieć jakieś słowo, ja mu w tym pomagam.

Pewnego razu, mój Tomek poznał na placu zabaw nowego kolegę, Piotrka. Długo bawili się razem. Świetnie się rozumieli. Nagle Piotrek powiedział jakieś dziwne słowo. Uszy Tomka szybko mi je powtórzyły. Nie było ono ładne, oj, nie było.



Współczułem językowi Piotrka. My, języczki, bardzo cierpimy, gdy nasi właściciele mówią brzydkie wyrazy.

Piotrek jeszcze kilka razy wypowiedział różne paskudne słowa, a mój Tomek tylko słuchał.

– Mam nadzieję, że Tomek nie będzie taki niemądry, jak jego nowy kolega – pomyślałem trochę zaniepokojony.

Gdy Tomek wrócił do domu, krzyknął:

– Mamusiu, poznałem nowego kolegę. Jest super! I zna takie śmieszne słowa!

– Naprawdę? A jakie to słowa? – zainteresowała się mamusia.

I Tomek spróbował wypowiedzieć jedno z nich. Och, jak mnie zabolalo! Ale musiałem je wypowiedzieć. Byłem bardzo nieszczęśliwy. Mamusia popatrzyła na Tomka i powiedziała:

– Kochanie, to nie są śmieszne słowa. To są bardzo brzydkie wyrazy. W naszym domu takich nie używamy. Twój języczek może się od nich rozchorować.

Tomek niestety nie posłuchał. Coraz częściej używał słów, które usłyszał od Piotrka. Rodzice byli bardzo zmartwieni. Na placu zabaw nieraz słyszał, jak rodzice innych dzieci mówili do swoich pociech:

– Nie baw się z tym chłopcem, on brzydko mówi.

Tomkowi to jednak nie przeszkadzało. Cieszył się, że wszyscy zwracają na niego uwagę. Po pewnym czasie zorientował się jednak, że ma coraz mniej kolegów.

A ja, języczek, od tych niedobrych słów zacząłem chorować. Za każdym razem, gdy Tomek je wypowiadał, bolało mnie bardziej i bardziej. Czułem się zmęczony, miałem coraz mniej sił na to, żeby się szybko podnosić. Zacząłem opadać na dno gardła. Wkrótce Tomek zauważył, że mówi mniej wyraźnie.

– Tomku, twój języczek jest chory, przestań go kaleczyć wymawianiem złych słów – ostrzegła go mama. Ale chłopiec nie

przestawał. Byłem już bardzo chory, nie mogłem szybko się poruszać, przez co mowa Tomka stawała się coraz bardziej niezrozumiała.

Po kilku dniach Tomek obudził się i chciał jak zawsze krzyknąć: „Obudziłem się!”. Nagle zauważył, że z jego buzi wypłynął dziwny bełkot:

– O....u....i....e....e.

„Co się dzieje?” – pomyślał. – „Spróbuję jeszcze raz”.

– O....u....i....e....e – i znów to samo. Języczek jakby przykleił się do dolnych zębów i ani drgnął. Tomek bardzo się przestraszył. Pobiegł do mamy i próbował jej wytłumaczyć, co się stało, ale usłyszał:

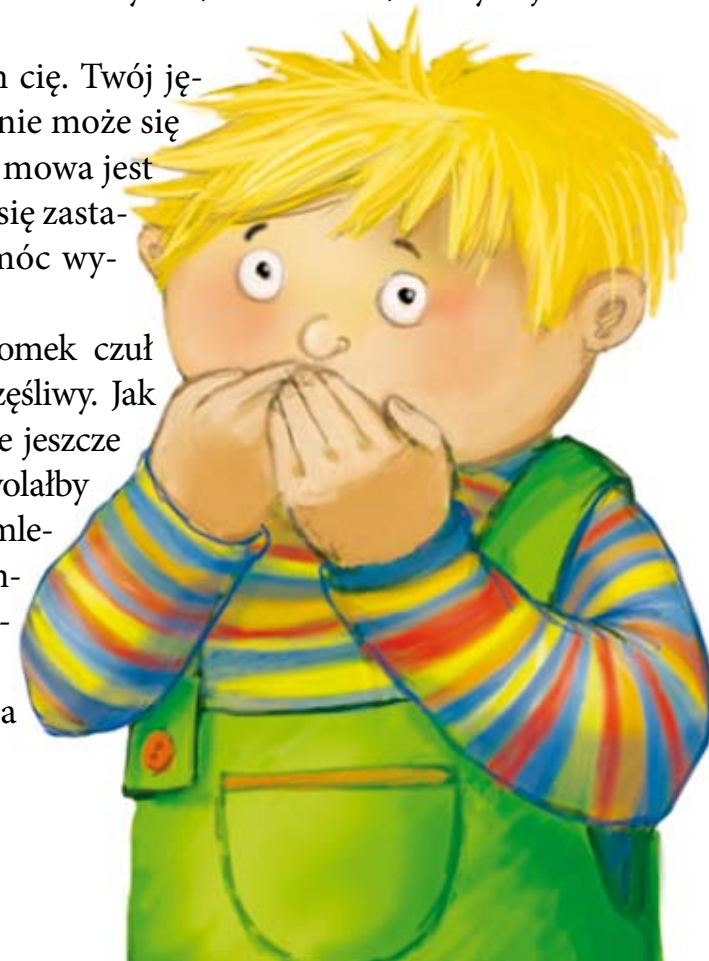
– Ła....a....a....u....iu....

– Czy to jakaś nowa zabawa? – zainteresowała się mamusia, ale gdy zobaczyła łzy w oczach synka, zrozumiała, w czym jest problem.

– No tak, ostrzegałam cię. Twój języczek się pochorował i nie może się ruszać. A przez to twoja mowa jest niezrozumiała. Musimy się zastanowić, co może mu pomóc wyzdrowieć.

Myślała, myślała, a Tomek czuł się coraz bardziej nieszczęśliwy. Jak tu powiedzieć mamusi, że jeszcze chce mu się pić albo że wolałby na śniadanie płatkę z mlekiem, a nie kanapkę z szynką, skoro zamiast słów słyszał jakiś dziwny bełkot?

W pewnej chwili mama podeszła do chłopca:



– Kochanie, czy pamiętasz, co sprawiało, że twój język był szczęśliwy? – zapytała. – Gdy kiwniesz raz głową, to będzie oznaczało „tak”, gdy pokręcisz głową, będzie oznaczało „nie”.

Tomek kiwnął głową na znak, że zrozumiał.

– Czy twój języczek był szczęśliwy, gdy mówiłeś dobre słowa?

Tomek kiwnął głową.

– Czy lubił, gdy wypowiadałeś „proszę”, „dziękuję”, „przepraszam”? – i znów kiwnięcie.

– Czy był szczęśliwy, gdy zacząłeś używać brzydkich wyrazów?

Tomek zastanowił się. Zaczął sobie przypominać, że kłopoty z mową zaczęły się właśnie wtedy.

Pokręcił głową.

– Aha, więc nie był szczęśliwy. Gdy wypowiadałeś brzydkie słowa, zacząłeś niewyraźnie mówić? Tomek znów kiwnął głową.

– Hmm. Musimy się zastanowić, co by pomogło twojemu językowi. Możemy spróbować dać mu lekarstwo, żeby mógł wyzdrowieć. Ale to nie będzie zwykłe lekarstwo. Wyleczyć język możemy tylko wtedy, gdy powstrzymasz się od mówienia brzydkich słów. Spróbujemy?

– Tak – kiwnął głową chłopiec, był gotów zrobić wszystko, byle tylko znów mógł normalnie mówić.

Od tego dnia Tomek postanowił nie używać brzydkich słów. Na początku było to dla niego trudne, ale bardzo się starał. Po pewnym czasie zauważył, że mówi mu się troszkę lepiej.

– Mamusiu, to działa! – krzyknął, jeszcze trochę niewyraźnie.

Mama ucieszyła się z sukcesu synka.

– Widzisz, nie kaleczysz już swojego języczka brzydkimi wyrazami i on powoli zdrowieje.

– Niedługo całkiem wyzdrowieje – obiecał Tomek. – Ja się o to już postaram!

Cześć, to znowu ja, Toni, języczek Tomka. Pamiętacie mnie jeszcze? Czuję się coraz lepiej. Mam więcej siły i zaczynam się szybciej ruszać. Jak Tomek się postara, niedługo będę zupełnie zdrow i znowu staniemy się najlepszymi przyjaciółmi...

Urszula Lisowska-Kożuch



O Misiu, który bał się ciemności

(dla dzieci, które boją się ciemności)

Misio Puszek mieszkał z mamą i tatą w chatce pod lasem. Był radosny i wesoły. Lubił się bawić w swoim ogródku przed domem wraz ze swoim kolegą - misiem Miodkiem. Zabawom towarzyszyły śmiechy i radosny nastrój. Jednak każdego dnia wieczorem nasz misio smutniał. Nie chciał spać. Bał się, że w ciemnym pokoju zjawią się strachy, smoki i złe wróżki.

Mama, pani Misiowa, i tata, pan Misiowy, tłumaczyli synkowi, że w nocy nic mu się złego nie stanie. Przecież oni, rodzice, są w pokoju obok i czuwają nad synkiem. Na nic jednak zdawały się te rozmowy, Misio głośno płakał. Płakał i płakał, a mama trzymała go w swych ramionach, aż misio usnął. Mama i tata bardzo się martwili, że ich synek tak bardzo boi się ciemności.

Nie wiedzieli, jak mu pomóc. Nawet zapalone, maleńkie światełko nie pomagało. Misio ciągle płakał. Pewnego dnia cała rodzina misiowa pojechała do lasu na jagody. Każdy miał koszyczek, do którego zbierał soczyste jagody. Rodzice tak byli zajęci

zbieraniem jagód, że nie zauważyli, iż mis się oddalił. Miś nie widząc mamy i taty, przestraszył się. Myślał, że go nie znajdą i będzie musiał zostać w nocy, w ciemnym lesie. A przecież on tak bardzo bał się wieczorem zasypiać w swoim pokoju, a co dopiero zostać w nocy, w ciemnym lesie. Zaczął płakać...

Gdy głośno szlochał, nagle poczuł, że ktoś mu usiadł na ramieniu. Otworzył oczy i ze zdziwieniem zobaczył, że jest to sowa. Sowa przemówiła do misia:

– Dlaczego płaczesz, misiu?

Puszek swoją małą łapką otarł łzy i odpowiedział:

– Bo ja się boję ciemności, zgubiłem się, a pewnie już niedługo nadejdzie wieczór, potem noc.

Misio znowu się rozplakał. Sowa nachyliła się do ucha misia i powiedziała:

– Mam dla ciebie prezent.

Misio znowu popatrzył na sowę i zaciekawiony zapytał:

– Ty masz dla mnie prezent, jaki?

Sowa wyjęła spod swoich skrzydeł piękne, ciemne okulary. Takie, jakie zakłada się w słoneczny dzień. Powiedziała do Puszka:

– Są to zaczarowane okulary. Kto je posiada, ten nigdy nie boi się ciemności, trzeba je założyć na nos, o tak.

Sowa założyła misiowi na nos ciemne okulary i powiedziała:

– Popatrz, teraz jest ciemno, ale ty, misiu, wiesz, że kiedy ściągnie



się okulary, zawsze robi się jasno. Tak jest wieczorem: robi się ciemno jak wtedy, gdy zakłada się okulary. Ale zawsze potem nastaje piękny jasny i słoneczny poranek. To tak, jakbyś ściągnął okulary. Zabierz ze sobą te okulary i trzymaj je na półeczce przy łóżku. Kiedy pójdziesz spać, przypomnij sobie, jaką okulary mają magiczną moc – załóż je na nos, zrobi się ciemniej, a potem zdejmij je i ułóż na półeczce, zobaczysz, zrobi się jaśniej. Popatrz, ja też mam takie okulary. Dzięki nim nie boję się być w nocy w lesie. Bo pewnie wiesz, że sowy w nocy nie śpią.

Misio mocno zacisnął w łapkach okulary i przyrzekł sobie, że już nie będzie się bał spać w swoim pokoju. Sowa uśmiechnęła się do Puszka i wskazała mu drogę powrotną z lasu do domu. Misio szedł dróżką przez las, a sowa fruwała nad nim. Obydwoje mieli zaczarowane okulary.

Na skraju lasu już czekali na misia zmartwieni rodzice. Mocno uścisnęli swego synka i wrócili do domu. Jakże rodzice się zdziwili, kiedy misio wieczorem spokojnie położył się spać. Nie płakał, lecz grzecznie zasnął. Mama i tata jak zwykle zaglądali do misia, aby nie stało mu się nic złego. Przecież bardzo go kochali. Nie zauważyli, że na półeczce leżały piękne, zaczarowane okulary. Rano miś obudził się leniwie i przeciągnął łapki. Spojrzał na okulary. Założył je na nos i powiedział do siebie: „ciemno – jasno”.

Od tej chwili misio sam zasypiał w swoim pokoju. Wiedział, że nic złego mu się nie stanie. Miał zaczarowane okulary. Ale przede wszystkim miał mamę i tatę, którzy bardzo go kochali.

Joanna Kuc



W mojej szafie

(dla dzieci, które mają lęk przed czymś nieznanym)

*W*cale nie dawno, dawno temu, tylko całkiem niedawno i nie za górami, za lasami, za siedmioma morzami, tylko całkiem niedaleko... działo się to w naszym mieście. Był sobie chłopiec o imieniu Szymon. Miał siedem lat, mamę, tatę i świnkę morską. Mama i tato bardzo kochali swojego synka, a chłopiec bardzo kochał swoich rodziców. Czasami jednak żałował, że nie ma brata, albo chociaż siostry, z którą mógłby się bawić, kiedy rodzice byli zajęci swoimi bardzo ważnymi sprawami. Wprawdzie Szymek miał świnkę morską, którą nazywał Rozetą i z którą lubił się bawić, ale świnka morska to nie to samo, co siostra, albo, jeszcze lepiej, brat. Zresztą Rozeta po kilku minutach zabawy była zmęczona i zwykle uciekała do swojej kryjówki, bądź zasypiała.

Szymek miał jeszcze kogoś. Był to stary miś o imieniu Oczko. Wcześniej miś chłopca nazywał się zwyczajnie Miś, ale pewnego dnia odpadło mu ze starości oko, potoczyło się gdzieś pod meble i całkiem zaginęło. Mama w swoich guzikowych zapasach odnalazła bardzo podobny do misiowego oka guziczek. Przyszyła go Misiowi, żeby mógł spoglądać na świat dwoma oczkami. Nowe oko było podobne, ale nie identyczne. Miało kolor granatowy



zamiast szafirowego. Od tej pory miś dostał nowe imię i wszyscy w domu nazywali go Oczko.

Jak widzicie, Szymek był takim samym chłopcem jak każdy z was. Chodził do pierwszej klasy, zaczynał już samodzielnie czytać i liczyć. Nie wyróżniał się specjalnie spośród chłopców w swojej szkole. Ale Szymek miał sekret. Bał się ciemności. Szczególnie bał się zasypiać w ciemnościach.

O sekrecie chłopca wiedzieli tylko jego rodzice i nikt więcej. Nawet babcia i dziadek, którzy mieszkali daleko, w innym mieście.

Codziennie wieczorem, gdy leżał w łóżku i nie mógł zasnąć, Szymek wyobrażał sobie, że w szafie, która stała w kącie jego pokoju, mieszka Potwór. Straszny, okropny. Chłopiec sam nie wiedział, jak ON dokładnie wygląda. Czasami miał wielkie, świecące groźnie ślepie, pazury i długi ogon z kolcami. Kiedy indziej długie macki, a czasami zakrzywione szpony. Zawsze jednak był okropny i przerażający. Mama z tatusiem wiele razy tłumaczyli synkowi, że w jego szafie nikogo nie ma, że wiszą tam tylko jego ubrania. Ale Szymek i tak się bał. Wiedział, że Potwór to tylko wytwór jego wyobraźni, że to jego wyobraźnia wymyśla Potwora z szafy. Ale i tak się bał.

Na strach pomagało włączenie lampki, która stała na biurku przy jego łóżku. W świetle nocnej lampki Potwór znikał. Pomagało też wtulenie się w misia Oczko. Często po nocy Szymek budził się z odcisniętym na policzku oczkiem misia. Tak mocno go tulił przez sen.

Prawie każdego wieczora mama czytała synkowi przed snem jego ulubione książeczki. Gdy kończyła czytanie, wychodząc z pokoju zawsze uśmiechała się i posyłała całusa. W świetle lampki Szymek widział wtedy w oczach mamy smutek. Może go tam wcale nie było? Ale Szymek i tak widział ukryty smutek w uśmiechniętych oczach mamy. Może i to była tylko jego wy-



obrażnia? Chłopiec często myślał, że mama chciałaby móc wyłączyć lampkę, gdy skończy czytanie. Szymek marzył, że pewnego dnia przestanie się bać Potwora z szafy i powie, żeby mama wyłączyła światło przed wyjściem z jego pokoju. W takich chwilach Szymkowi najbardziej brakowało rodzeństwa. Gdyby obok jego łóżka stało drugie łóżeczko z siostrą albo bratem, Potwór na pewno nie byłby taki straszny.

Lampka nocna świeciła się więc na jego biurku każdego wieczoru.

Pewnego kwietniowego dnia mama wracała z pracy. Dzień był piękny i słoneczny. Szła więc wolno, rozkoszując się ciepłem wiosennego dnia. Nagle, sama nie wiedząc czemu, stanęła przed dużym oknem wystawowym. Za szybą było mnóstwo książek.

Mama zatrzymała się przed księgarnią. Jej wzrok przyciągnęła mała, niepozorna książeczka. Tytuł był dość dziwny: „W mojej szafie”. Na okładce książki widniała szeroko otwarta



szafa. A w jej środku... samolot, łódka, auto, koń, sanie. Ho, ho...czego tam nie było. Ubrań nie było.

Niewiele zastanawiając się, mama weszła do księgarni. Odzukała na półkach książkę o szafie. Obejrzała ją od początku do końca i od końca do początku. Uśmiechnęła się szeroko i kupiła małą książeczkę.

Tego samego dnia wieczorem, choć Szymek chciał słuchać przed snem opowieści o Batmanie, mama przeczytała mu nowo kupioną książkę. Po skończeniu czytania, zanim jeszcze pocałowała synka w czoło, zauważyła, że już zasnął. I chyba nawet uśmiechał się przez sen...

Czy książeczka *W mojej szafie* była zaklęta? Czy miała magiczną moc? Nic z tego. Była to zwykła książka, bez czarodziejskich właściwości. Napisała ją znana pisarka, pani Joanna Kremik.

W książeczce opisała przygody dziewczynki o imieniu Lilka. Była to ośmioletnia panienka o wielkiej wyobraźni. Lilka każdą wolną chwilę spędzała w swojej... szafie. Tam była jej sekretna kraina. Dziewczynka potrafiła zaszyć się w szafie nawet na kilka godzin. Zapominała wtedy o jedzeniu i picu. Do swojej szafy Lilka zabierała ze sobą lalki, czasami książeczki, ale najczęściej wystarczały jej mięciutkie poduszki. Mościła się na nich wygodnie i snuła marzenia. Podróżowała wtedy w najbardziej egzotyczne krainy. Raz była na księżycu. Ba! Kiedyś nawet wybrała się w czasy, gdy na Ziemi żyły dinozaury. A jakie miała przygody! Sami chcielibyście o nich przeczytać. Ale tak naprawdę Lilka cały czas siedziała sobie w swojej szafie na miękkich poduszkach.



Ale wróćmy do naszego Szymka. Spał smacznie całą noc. Następnego dnia była sobota, więc nie musiał iść do szkoły. Gdy tylko wstał, podszedł do szafy. Szeroko otworzył drzwi i zadumał się. W świetle dnia była to zwykła szafa. Na wieszakach wisiały spodnie i kurtki, a na dnie leżały jakieś pudła i kartony. Dokładnie nie wiedział, co w nich jest. Chyba jego stare ubrania, których mama nie chciała się pozbywać. Może myślała, że jeszcze kiedyś się przydadzą?

Szymek poszedł do pokoju rodziców. Cichutko wsunął się do łóżka i obudził mamusię. Mama, jeszcze zaspana, uśmiechnęła się i ucałowała synka. Popatrzyli sobie w oczy i już wiedzieli...

Po śniadaniu wybrali się razem na zakupy. Kupili trzy miętutkie jaśki i trzy kolorowe poszewki. Na pierwszej była krówka, na drugiej wyścigówka, a na trzeciej Batman. Po powrocie do domu mama zabrała z szafy synka wszystkie pudła i tato wyniósł je na strych. Teraz mogli ułożyć na dnie szafy koc i nowiutkie poduszki. Szymon wszedł do swojej nowej kryjówki, a mama przykucnęła obok, bo w szafie by się nie zmieściła. W szafie było cicho, ciepło i przytulnie. Chłopiec miał ze sobą dwa autka, figurkę Batmana i książeczkę *W mojej szafie*. Wprawdzie było zbyt ciemno, żeby mógł ją czytać, ale wystarczyło mu oglądanie obrazków ilustrujących przygody Lilki.

Od tego dnia, a może raczej od tej książki, szafa w pokoju Szymka stała się jego sekretną krainą. Często zaszywał się wśród miękkich poduszek i wymyślał przeróżne historie. Miał przecież bardzo bujną wyobraźnię. Te najbardziej niesamowite historie opowiadał mamie.

Jak myślisz, czy lampka na biurku Szymka nadal musi być włączona wieczorami?

Alicja Breiter



Rozbrykany słonik

(dla dzieci zmęczonych)

*M*ały słonik jak co dzień biegał sobie po lesie, podśpiewując ulubioną słonikową piosenkę. Nagle zorientował się, że las się kończy, a za nim jest brązowy płot. Płot był baaardzooo długi, rozciągał się od prawej do lewej strony i oddzielał las od łąki. Między szczebelkami słoniątka zobaczyło dużą, kolorową przestrzeń. Zaciekawiony słonik podbiegł do płotu i z całych sił przeszedł między szczebelkami. To, co zobaczył, sprawiło, że nabrał dużo siły, aby biec po tej przepięknej polanie. Rozciągała się ona ze wszystkich stron. Cała była zielona, a na niej rosły przeróżnej wielkości krzaczki, małe drzewka i dużo, dużo kwiatów. Słonik pierwszy raz w swoim życiu zobaczył tyle kolorowych kwiatów. Z wielkim zaciekawieniem rozglądał się wokół. Biegał od jednego kwiatka do drugiego, napełniając siebie tymi przepięknymi kolorami. Kwiaty były czerwone, niebieskie, żółte, pomarańczowe, a nawet fioletowe. Słonik biegał i biegał. Już nóżki zaczęły odmawiać mu posłuszeństwa, bo takie były zmęczone, ale słonik wiedział, że coś jeszcze piękniejszego może zobaczyć w tym rajskim miejscu.





Wtem patrzy i aż swe niebieskie oczka musiał dobrze przetrzeć trąbą. Przed nim stał przepiękny, żółtopomarańczowy, duży kwiat, a na nim siedziała mała pszczołka. Pszczołka, gdy tylko zauważyła słonika, pofrunęła na drugi taki sam kwiatek. Słonik pobiegł za nią. Był bardzo zdziwiony, co to za małeńkie zwierzę. Pierwszy raz widział coś takiego. W swoim lesie spotykał tylko słonie, zebry, żyrafy, ale nic tak małeńkiego.

Pszczołka natomiast siadała na kwiatku i po chwili znowu frunęła na następny kwiatek, a słonik biegał za nią. Ale nóżki słonika stawały się coraz cięższe. Słonik musiał przestać biec za pszczołką. Usiadł na trawie pomiędzy tymi kolorowymi kwiatami i podniósł swoją trąbę w kierunku błękitnego nieba. W tym też czasie słoneczko coraz mocniej świeciło. Otulało swoim promykami najpierw trąbę słonika, później jego główkę, nóżki, aż ogarnęło całego słonika. Słonikowi zrobiło się bardzo, bardzo ciepło, miło, a zarazem sennie. Położył się na trawce i zasnął. Śnił o małej pszczołce, która fruwała z kwiatka na kwiatek.

Nagle słoneczko zaczęło chować się za małą, a potem coraz większą chmurkę. A z niej zaczęły powoli spadać na ziemię kryształowe kropelki. Jedna taka kropelka spotkała się z trąbą słonika. Słonik otworzył swoje niebieskie oczka. Popatrzył na chmurkę, która stawała się również coraz ciemniejsza. Wstał i zaczął biec w stronę lasu. W oddali słyszał, jak jego mama trąbi, przywołując go na obiad. Gdy już był przy płocie, obejrzał się za siebie i stwierdził, że jutro spróbuje znaleźć pszczołkę, żeby się razem z nią wesoło bawić. Słonik bardzo się ucieszył, że znalazł sobie nową przyjaciółkę. A gdy szybko przeskoczył przez płot, z wielką radością pobiegł do swojej mamy na przepyszny obiad.

Agnieszka Biernat



Bajka relaksacyjna

(dla dzieci, które spotkało coś przykrego)

Pewnego popołudnia miś Leluś wracał z mamą ze swojego przedszkola bardzo smutny. Tego dnia pokłócił się ze swoim najlepszym przyjacielem. Mama próbowała rozweselić synka, ale Leluś ciągle był bardzo zmartwiony.

Po chwili na chodniku chłopczyk zobaczył małego jeżyka, który wolno maszerował przed siebie. Leluś zdenerwował się najpierw, że jeżyk przeszkadza mu na drodze, i nawet tupnął nogą, żeby odstraszyć Tuptusia, ale po chwili zainteresował się, dokąd to zwierzątko zmierza. Namówił więc mamę, by poszli za kolczastą kulką. Po chwili znaleźli się na pięknej polanie. Rosły tam różnokolorowe kwiatki, które przypominały Lelusiowi wesołe ściany w jego pokoju. Trawa była tam tak zielona, jak ulubiona sukienka mamy. Wszystko pachniało jak mydełko w jego łazience. Leluś wciągał ten zapach i czuł się dużo lepiej. Namówił mamę, by przez chwilę zostali w tym pięknym, pachnącym, kolorowym miejscu.

Położyli się na miękkiej, zielonej trawce, podłożyli łapki pod główki i było im bardzo wygodnie. Leżeli i głęboko, spokojnie oddychając, wciągali cudowny zapach trawy, kwiatów i łąki. Odpoczywali.



Leluś zamknął oczy i poczuł na policzkach ciepło słońca, które delikatnie go ogrzewało. Na łące czuć było miły, delikatny wiaterek, który przelatując przez całe ciało misia od czubka główki aż do samych jego stóp zabierał ze sobą cały smutek Lelusia. Misiowi było teraz dużo lżej i przestał już myśleć o swojej przedszkolnej kłótni. Otworzył oczka i patrzył na wolno przesuające się niebieskie, strzępiaste chmurki.

Nagle poczuł kropelkę wody na swoim nosku. Zamrugał oczkami, podniósł główkę i rozglądnął się po łące. Obok leżała jego mamusia, a nad nimi latał, wesoło ćwierkając, ptaszek. To on, otrzepując swoje skrzydełka po kąpielu w pobliskim jezioru, spuścił na noskę misia kropelkę wody. Miś podniósł się i powiedział mamusi, że chciałby już wracać do domu. Poprosił ją też, by kiedyś mogli jeszcze wrócić na tę zaczarowaną polanę, na której odchodzą wszystkie smutki, a która jest taka bezpieczna i piękna. Leluś zadowolony, podskakując i śpiewając, wracał z mamą do domu.

Lidia Ippoldt



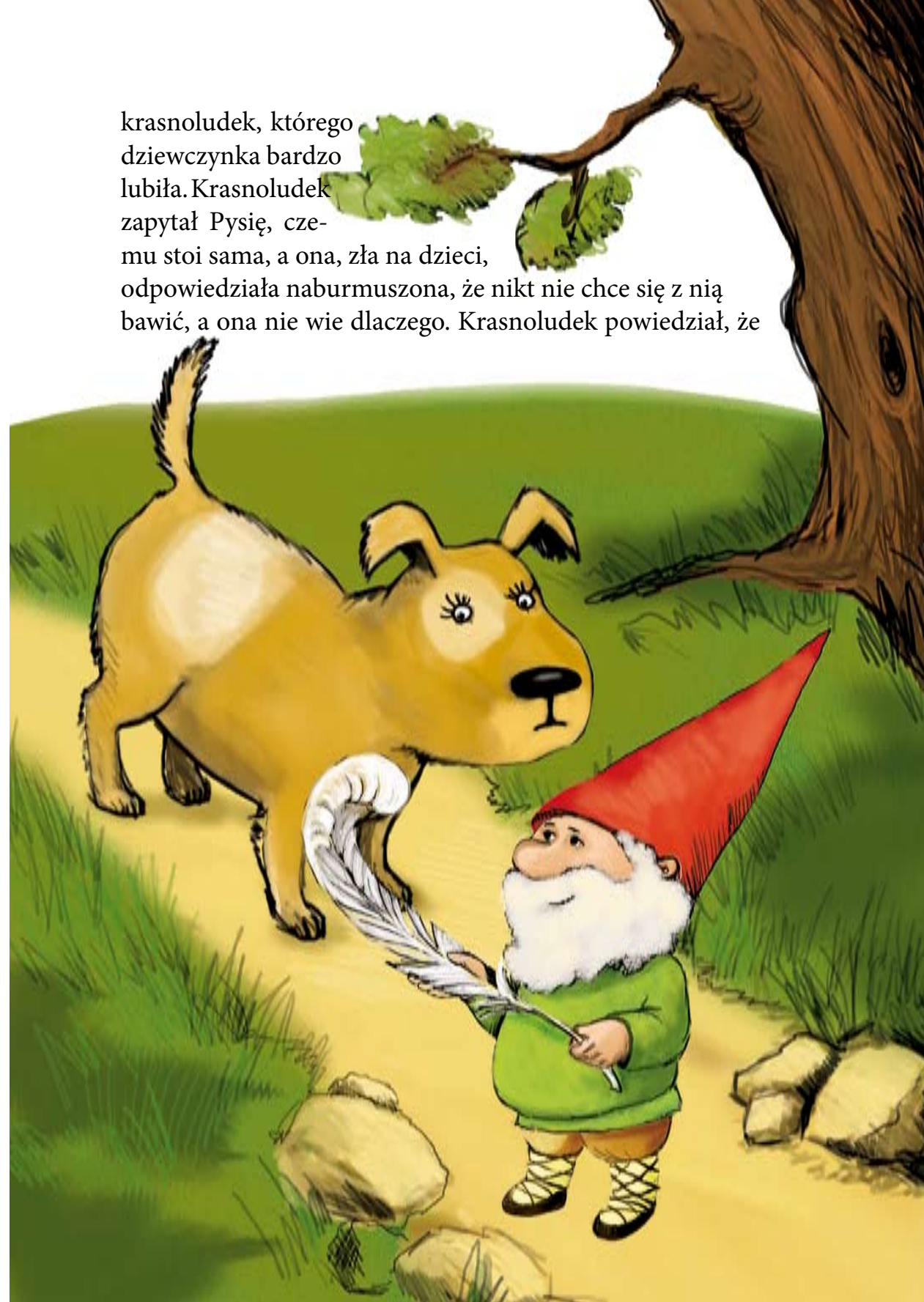
Pysiowy sposób na złość

(dla dzieci, które często wpadają w złość)

W niewielkim królestwie nieopodal wielkiego dworu żyła sobie rodzinka psów. Mamusia, tatuś i ich córka Pysia mieszkali w pięknym domku, gdzie dziewczynce niczego nie brakowało. Miała tam swój piękny kolorowy pokój, pełen cudownych zabawek, telewizor, komputer, ale przede wszystkim wspańiałych rodziców. Kochali oni swoją córeczkę bardzo, ale czasami byli bardzo smutni. Było to wtedy, gdy Pysia zaczynała się złościć. Niestety, dziewczynce zdarzało się to dosyć często. Koledzy z przedszkola nazywali ją nawet Pysią złośnicą i nie bardzo lubili się z nią bawić.

Gdy tylko Pysia nie dostawała od rodziców czegoś, czego chciała, lub koledzy nie chcieli jej oddać ulubionej zabawki, dziewczynka rzucała się na podłogę, krzyczała i kopała nóżkami lub zaczynała bić inne dzieci. Kiedyś nawet nabiła koledze guza, bo uderzyła go z całej siły ciężkim drewnianym klokiem. Nic więc dziwnego, że dzieci bały się Pysi złośnicy. Dziewczynka jednak lubiła chodzić do przedszkola i nie wiedziała, dlaczego dzieci nie lubią się z nią bawić. Gdy kiedyś nie znalazła sobie towarzysza zabaw i odeszła bardzo obrażona do kąta, podszedł do niej mały

krasnołudek, którego dziewczynka bardzo lubiła. Krasnołudek zapytał Pysię, czemu stoi sama, a ona, zła na dzieci, odpowiedziała naburmuszona, że nikt nie chce się z nią bawić, a ona nie wie dlaczego. Krasnołudek powiedział, że



zabawki też nie lubią, jak Pysia się nimi bawi, ponieważ bardzo często, złościąc się, rzuca je byle gdzie. Zdarzyło się, że lalce naderwała rączkę, misiowi rozdarła futerko.

Krasnoludek pokazał też swoją, zniszczoną przez Pysię, czapkę. Powiedział również, że każda zabawka czuje te wszystkie krzywdy, tak samo jak dzieci. Pysia zastanawiała się przez chwilę nad tym, co powiedział jej krasnoludek. Potem zapytała, co może zrobić, by dzieci i zabawki polubiły ją. Krasnoludek powiedział, że może w tym pomóc dziewczynce, pod warunkiem, że sama bardzo będzie tego chciała. Umówili się, że jak tylko Pysia będzie chciała się zezłościć, zaciśnie mocno paluszki, zamknie oczy, a krasnoludek pogłaszcze ją niewidzialnym czarodziejskim piórkem po policzku.

Postanowili zaraz wypróbować wymyślony przez krasnoludka sposób. Nie od razu pomogło, ale po chwili Pysi zrobiło się lepiej. I tak za każdym razem Pysi pomagał krasnoludek, który podpowiadał dziewczynce, co ma robić, kiedy tylko się rozłościła. Później dziewczynka już sama pamiętała o swoim czarodziejskim sposobie na gniew. Próbowwała go stosować także w domu, kiedy już, już miała się rozłościć na rodziców. Zauważyła, że rodzice rzadziej się smucą, a dzieci w przedszkolu częściej się do niej uśmiechają i bawią się z nią. Pysia złościła się coraz mniej, nie tupała już nogami, nie rzucała się na ziemię i nie biła dzieci.

Dziewczynka po jakimś czasie zyskała wielu przyjaciół, z którymi bardzo chętnie się bawiła, często oddając im swoje ulubione zabawki. Była też zapraszana do domów koleżanek i kolegów na ich imieniny czy urodziny. Pewnego dnia podeszła w przedszkolu do półki, na której leżał krasnoludek, i wyszeptła do niego:

– Dziękuję Ci, Ty jesteś moim najlepszym przyjacielem, bo podarowałeś mi najlepszy sposób na złość.

Lidia Ippoldt



Nieśmiały aktor Tobi

(dla dzieci zbyt nieśmiałych)

Pewnego popołudnia króliczek Tobi wracał z przedszkola bardzo smutny. Szedł bardzo powoli i prawie się nie odzywał. Jego mamusia zauważyła, że synek, zwykle wesoły, dzisiaj jest bardzo markotny. Pytała Tobiego, co się stało, ale on milczał. Całe popołudnie króliczek siedział w swoim pokoju i nawet nie chciał się bawić. Przed snem mama, jak zwykle, poszła do pokoiku synka, żeby przeczytać mu bajkę, ale chłopiec nie miał na to ochoty. Mama jednak przekonała synka, żeby posłuchał nowej bajki, którą tatuś kupił dzisiaj w księgarni. Króliczek zgodził się bardzo niechętnie i początkowo prawie nie słuchał tego, co czyta mama. Nagle usłyszał jej słowa:

– Jesteś bardzo nieśmiały – czytała mama.

Króliczek przypomniał sobie to, o co zapytała go dzisiaj jedna z koleżanek z przedszkola. Zapytała właśnie, dlaczego jest nieśmiały. Tobi jednak nie wiedział, co to znaczy, myślał, że jest to coś bardzo złego, zawstydzził się i odszedł, nic nie odpowiadając. Dlatego właśnie wracał taki smutny z przedszkola.





Króliczek przerwał mamie czytanie i ze łzami w oczach powiedział jej, że on też jest nieśmiały, bo tak powiedziała mu koleżanka z przedszkola i że on bardzo się tego wstydzi, ale nie umie przeprosić koleżanki za to, że taki jest. Mama wyjaśniła synkowi, że



nieśmiałości nie trzeba się wstydzić i nie trzeba za nią przeproszać. Można tylko próbować ją pokonać, bo ona bardzo przeszkadza w zabawach z dziećmi w przedszkolu, czy na podwórku. Mama obiecała Tobiemu, że pomoże mu pokonać jego nieśmiałość.

Odtąd mama z synkiem codziennie wymyślali nowe zabawy, by poradzić sobie z kłopotem króliczka. Zaczęli od długich rozmów na spacerach, na których synek wyjaśniał mamie, czego najbardziej się wstydzi. Okazało się, że chłopiec najbardziej lubi bawić się sam i chociaż jego koledzy z przedszkola są bardzo fajni, nie umie do nich podejść i bawić się z nimi.

Rodzice zaczęli więc bawić się z synkiem i wymyślali wspólne gry i zabawy. Kiedyś zaproponowali, by chłopiec zaprosił swoich ulubionych kolegów do domu. Chłopcy bawili się razem, a do zabawy włączyli się też rodzice Tobiego, by synkowi było różniej.

Mama bawiła się też często z synkiem w sklep, w którym kupowano i sprzedawano wiele towarów. Króliczek raz był sprzedawcą, raz klientem i bardzo lubił tę zabawę. Czasami urządzał też z rodzicami w domu teatrzyk, przebierał się i odgrywał wiele postaci z bajek.

Króliczek bawił się w domu bardzo chętnie, ale też częściej bawił się z kolegami z przedszkola. Zrobił się weselszy i śmielszy. Pewnego razu pani w przedszkolu zaproponowała Tobiemu, by wystąpił w przedszkolnym teatrzyku. Chłopiec przestraszył się trochę, ale mama wytłumaczyła mu, że przecież to taka sama zabawa, jak te domowe teatrzyki, które synek tak bardzo lubi. Na drugi dzień Tobi powiedział pani, że wystąpi w bajce. Przedstawienie odbyło się po kilku tygodniach i wszystkim bardzo się podobało. Króliczek zagrał wspaniale i wszyscy bili mu brawo, a rodzice byli bardzo dumni ze swojego odważnego synka. Od tej pory Tobi bardzo chętnie bawił się z dziećmi, grał w przedszkolnych przedstawieniach i chętnie wychodził na podwórko, gdzie zdobył wielu przyjaciół.

Lidia Ippoldt



Pikolo

(dla dzieci o niskiej samoocenie)

W ydarzyło się to dawno temu. Pomimo upływu czasu niektórzy sądzą, że i dziś, kiedy mija się gmach filharmonii, słysząc przenikliwy, piękny i mocny dźwięk fletu Pikolo. Zaczniemy jednak od początku...

Tego dnia wśród instrumentów zapanowało poruszenie. Wiolonczela podsłuchiwała, że szykuje się wspaniały koncert, w którym wystąpią wszystkie instrumenty.

– Cóż za wiadomość! – ucieszył się Smyczek. – Kiedy szarpnię struny Skrzypiec, to naprawdę czuję, że żyję!

– Mam nadzieję, że tym razem mnie nie zagłuszycie – wepchnęła się między dwie Wiolonczele Altówka. – O tym, żeby zagrać coś solo, to już nawet nie marzę – dodała, sprawdzając naprężenie swoich strun i wydobywając z siebie przy tym delikatny, aksamitny dźwięk.

– Kochani, o czym tu mowa? – zaśpiewały rzewnie Skrzypce. – Wiadomo, kto zawsze jest uprzywilejowany – i spojrzały zadośnie w stronę Kontrabasu, a wraz z nimi inne instrumenty smyczkowe uczyniły to samo.



– U nas nie ma tego problemu – włączył się do dyskusji swym głębokim i donośnym dźwiękiem Fagot. – Każdy może się wykazać.

– Może ty tak uważasz – podszedł do niego skromny Obój.

I tak trwały dyskusje: kto na ile jest doceniany, a kto dostanie największą szansę, aby się wykazać.

– Przestańcie! I tak nie od nas zależy, kto oraz ile gra. O wszystkim decyduje dyrygent i zapis nutowy – rozsądziła Wiolonczela.

– Bardziej jestem zainteresowana tym, jak się spisze ten nowy. Flet, wiesz coś o tym nowym?

Zagadnięty Flet prosty, sopranowy wzruszył ustnikiem:

– Nie wiem, kogo masz na myśli...

– No przecież doszedł do was, Dętych Drewnianych, ten mały Pikolo – stwierdziła wścibska Wiolonczela.

– A, to jego masz na myśli! Nie wiem, co potrafi, ledwie wydobywa z siebie dźwięk. Powinien chyba zacząć od orkiestry kameralnej, bo jakoś nie może się odnaleźć w symfonicznej. Tamten stary zawsze grał ze mną w duecie tylko o oktawę wyżej, a tego nowego prawie nie słysząc – rzekł zaniepokojony.

– I rzekomo Pikolo ma najwyższe brzmienie w całej orkiestrze – prychnął czystym dźwiękiem Saksofon.

Żaden z instrumentów nie zauważył, że miniaturowy, niezwykle nieśmiały flecik przysłuchuje się całej rozmowie i że ogarnia go coraz większy popłoch...

– Ma najwyższe brzmienie w całej orkiestrze, zawsze gra w duecie z większym Fletem o oktawę wyżej – te myśli bezustannie kłębiły się w jego głowie. Nie ma innej rady, trzeba ćwiczyć najpierw przy pustej sali, kiedy nikt go nie słyszy.

Tego samego wieczora, gdy muzycy skończyli próbę i wszyscy opuścili gmach orkiestry, Pikolo wy dostał się ze schowka na instrumenty i w kąciку, w zupełnych ciemnościach, delikatnie wysunął srebrny ustnik... Poczuł, jak powietrze zaczęło docierać do jego otworów. Już, już miał wydobyć z siebie dźwięk... i zamarł



w głuchoj ciszy. Zdesperowany spróbował jeszcze raz, ale wydał z siebie tylko parę jazgotliwych dźwięków.

– To koniec! – pomyślał z rozpaczą. – Ośmieszę siebie, ośmieszę całą orkiestrę, nikt na mnie nigdy więcej nie zagra! – rozejrzał się dookoła, czując, że długo nie zagrzej tu miejsca.

– Coś nie tak z twoim dźwiękiem? – usłyszał za plecami stłumione, matowe brzmienie Fletu.

Przestraszył się, że ten słyszał słabe, jazgotliwe dźwięki, jakie odegrał przed chwilą, ale postanowił nie dać po sobie poznać, jak bardzo jest speszony.

– Nie, nie – zapewnił. – Wszystko w porządku. Tak mi jakoś głos ugrzązł... – wyjąkał.

Flet spojrzał na niego uważnie, po czym westchnął:

– Mnie nie oszukasz. Zbyt długo gram w orkiestrze, żeby nie wiedzieć, że masz tremę.

– Tremę? – powtórzył przerażony Pikolo, czując, że za chwilę jego problem wyjdzie na jaw.

– Tak, tremę. Boisz się zagrać w duecie ze mną na koncercie, nie możesz wydobyć z siebie czystego dźwięku, albo

w ogóle nie potrafisz niczego zagrać, chociaż

już wysunąłeś ustnik...

– odpowiedział za niego Flet, uśmiechając się pogodnie.

Pikolo nie mógł wyjść ze zdumienia, że ten stary, drewniany instrument tak dobrze rozumie, co on teraz przeżywa. Bardzo chciał przyznać, że właśnie tak się czuje, ale jednocześnie hamował go strach przed ujawnieniem, iż zagranie na koncercie go przeraża. W końcu, jak mówiły wszystkie instrumenty, to on ma najwyższe brzmienie w orkiestrze! Nie może ich zawieść.

– Pomogę ci! – zaproponował Flet. – Też kiedyś bałem się występować w orkiestrze i byłem tak jak ty nieśmiały.

– Myślisz, że coś może mi pomóc? – zapytał z powątpiewaniem Pikolo.

– Oczywiście! Zaczniemy od krótkich prób.

I tak przez najbliższe dni stary, drewniany Flet przekonywał nowego Pikolo, żeby odważnie wysunął swój ustnik i zagrał najpierw jeden, potem dwa... i dalej, coraz to więcej dźwięków. Próby przebiegały mozolnie. Za trzecim razem Pikolo odważył się w ogóle wysunąć ustnik, ale nie zagrał ani jednego dźwięku. Za czwartym razem wydobył z siebie jakiś żalony jazgot i dopiero przy piątym podejściu wygrał czysto trzy, raczej niskie, dźwięki. Stary Flet doceniał jednak każdy, drobny krok naprzód młodego Pikolo i chwalił go za wszystkie poczynione postępy.

Po kilku dniach drewniany Flet uprosił dwie Altówki, Fagot i Harfę, aby przyszły posłuchać, jak gra nowy Pikolo. Zaproszeni nie mieli wprawdzie na to wielkiej ochoty i jednogłośnie zapewniali, że ciężko trenują przed koncertem. Usłyszawszy jednak, że jeśli nie udzielą wsparcia nowemu instrumentowi, może on nie zagrać należycie podczas koncertu, a wtedy to już nikt nie przyjdzie, by posłuchać jak grają, zdecydowali, że postarają się znaleźć trochę czasu.

Po południu miał się odbyć pierwszy, kameralny koncert Pikolo. Z drżeniem serca miniaturowy flecik obserwował, jak na widowni zasiadają kolejno Altówki, obok nich Fagot i – jako ostatnia – Harfa. Kiedy tak stanął z nimi oko w oko, poczuł, że nie wydo-



będzie z siebie ani jednego dźwięku. Co tu dużo mówić, zdał sobie sprawę z tego, że tak naprawdę jest nikim w tej orkiestrze. Gdzie on tutaj – ze swoim piskliwym, delikatnym dźwiękiem wobec wspaniałego Fagotu albo czystego, mocnego brzmienia Klarнету. Czyżby mógł się czuć na równi z Saksofonem, Kontrabasem czy Trąbką? To są wspaniałe instrumenty! Ledwie wysunął ustnik, zaraz schował go z powrotem. Spojrzał jednak w oczy starego, drewnianego Fletu. Ujrzał w nich głęboki spokój i ufność. Ostrożnie i nieśmiało wysunął ponownie ustnik... i przeciął ciszę czystym, przenikliwym dźwiękiem o wspaniałym brzmieniu. Nie układał się on w żadną melodię, ale nie miało to teraz żadnego znaczenia. Po prostu cieszył się swoją mocną, intensywną barwą. Kiedy tak grał, usłyszał nagle wtórujące mu niższe dźwięki swojego sopranowego mistrza, a za chwilę zupełnie nieoczekiwanie włączyły się skromne Altówki i dystygowana Harfa. Każdy wtórował mu tak, jak potrafił oraz jak podpowiadało mu serce.

– Dzisiaj spróbujesz zagrać na wielkiej sali koncertowej – uśmiechnął się któregoś dnia drewniany Flet.

– Już dzisiaj?! – przeraził się Pikolo.

– Musisz się oswoić z tym, że nie będziesz grał sam dla siebie albo dla nas w ciasnym schowku na instrumenty. Jesteś stworzony do tego, by występować przed publicznością.

Pikolo przełknął ślinę. Nie czuł się jeszcze gotowy, by znaleźć się na tej wielkiej, wytwornej sali. Cóż jednak począć, skoro termin koncertu zbliżał się nieubłaganie?

Sala była rzeczywiście ogromna. Pikolo stanął na drewnianej scenie i starał się nie rozglądać dookoła. Czuł się już dostatecznie przytłoczony wielkością tego, co go otaczało.

– Pokaż, co potrafisz! – zagrzewał go do występu Puzon, który rozsiadł się wygodnie w jednym z foteli dla publiczności.

– Nie stresujmy go! – zarządziła Altówka. – Jesteśmy tu po to, by mu pomóc.

Instrumenty zaproszone przez drewniany Flet cichutko zajęły miejsca po stronie widowni i w milczeniu czekały na pierwsze dźwięki, jakie wygra nowy Pikolo.

Zaczął stary Flet. Odegrał swoją partię spokojnie i czysto.

– Teraz ty – szepnął do Pikolo i dał mu lekkiego kuksańca.

Pikolo wysunął ustnik, lecz nie wydobył ani jednego dźwięku... Przyszedł znowu czas na frazę sopranowego towarzysza. Stary flet i tym razem zagrał spokojnie, mocno, jakby cały czas wierzył, że za którymś razem Pikolo zawtóruje mu swym



przenikliwym dźwiękiem, wyższym o oktawę. Aż w końcu, kiedy Pikolo zauważył, że żaden z siedzących na widowni instrumentów już na niego nie patrzy i że każdy dyskretnie zajmuje się sobą, odezwał się czystym, wibrującym brzmieniem. Był tak szczęśliwy, że udało mu się przełamać swój strach, iż nawet nie zauważył, że znowu oczy wszystkich wpatrzone były w niego, tym razem nie z ciekawością, ale z podziwem i szacunkiem.

Kilka dni później odbył się wielki, zapowiadany przez Wiolonczelę koncert. Na widowni zasiadły tłumy słuchaczy. Pikolo wychodząc na scenę czuł, jak ogarnia go popłoch, ale pamiętał słowa starego drewnianego Fletu, żeby nie patrzeć na twarze ludzi, ale grać całym sobą i cieszyć się wydawanym dźwiękiem.

Dzisiaj także można przyjść i posłuchać przenikliwego, wspańskiego brzmienia Pikolo. Nadarza się okazja usłyszeć go nie tylko wówczas, kiedy gra na koncercie. Czasem jego mocne dźwięki dobiegają ze schowka na instrumenty, w którym gra ze starym drewnianym Fletem, ale już nie po to, by opanować nieśmiałość. Gra dla przyjemności...

Marta Jurek



Kotek Pimpus i doktor Igielko

(dla dzieci, które boją się wizyty u lekarza)

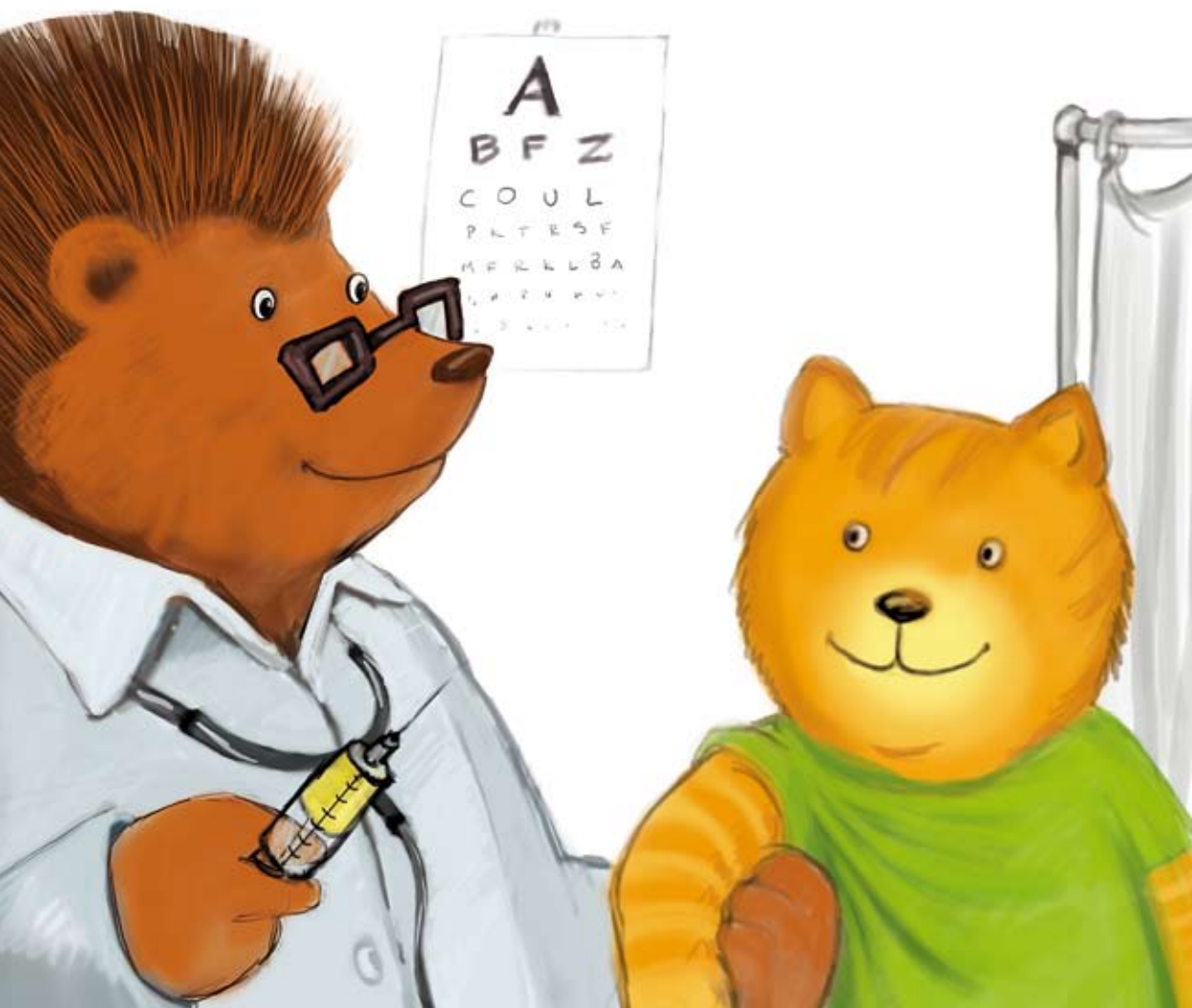
*N*a dużym osiedlu mieszkaniowym, pośród kolorowych bloków, żyła sobie szczęśliwa kocia rodzinka: mama, tata, kotek Pimpus i jego starszy braciszek Felus. Wszyscy bardzo się kochali. Mamusia i tatuś chodzili do pracy, Pimpus do przedszkola, a Felus do szkoły.

Pewnego wieczora mamusia powiedziała Pimpusiowi, że za kilka dni będą musieli iść do szczepienia. Pimpus bardzo się zmartwił, bo bał się zastrzyków. Nie chciał się do tego przyznać ani mamie, ani tacie, ani nawet swojemu starszemu bratu, bo wstydził się tego, że taki duży kotek boi się małej igielki. Pimpus próbował więc przekonać mamę, że takie szczepienie nie jest mu potrzebne, jest przecież zdrowy i nie potrzebuje zastrzyków. Ale mama tłumaczyła synkowi, że to przecież nic strasznego i nie ma się czego bać. Pimpus jednak bał się coraz bardziej tego dnia, który zbliżał się nieubłaganie.



Wreszcie nadszedł. Mama rano oświadczyła kotkowi, że to właśnie dzisiaj, zaraz po powrocie z przedszkola idą do pana doktora Igiełki. Pimpus przez cały dzień był smutny, w przedszkolu nie miał ochoty na zabawę z kolegami i ciągle myślał o tym, co czeka go u pana doktora Igiełki. Aż biedny poszarzał ze strachu.

Wreszcie w przedszkolu pojawiła się mama, na widok której Pimpus nie ucieszył się, tak jak zwykle. Okazało się, że przed przedszkolem czekają na kotka jeszcze tatuś i Feluś. Kotkowi zrobiło się trochę różnie, że pójda wszyscy do pana Igiełki, ale mimo wszystko bał się bardzo. Kiedy doszli do przychodni, okazało się, że są tam też inne dzieci, które również czekają na



szczepienie. Jedne płakały i tuliły się do rodziców, inne, przestraszone, siedziały grzecznie i nic nie mówiły.

Pimpus zauważył w kącie chłopczyka, który spokojnie przeglądał kolorową książeczkę. Kotek pomyślał, że kolega jest już pewnie po szczepieniu, bo nie widać, żeby się bał. Podeszedł do chłopca z zamiarem zapytania o to, czy bardzo bolało. Jakież było zdziwienie Pimpusia, kiedy okazało się, że chłopczyk też czeka na szczepienie, a żeby się mniej bać, ogląda książeczkę o króliczku, który bardzo nie lubił zastrzyków. Kiedyś nie pozwolił się panu doktorowi zaszczepić, a kiedy zachorował, okazało się, że jego choroba lżej by przebiegała, króliczek szybciej by wyzdrowiał i wrócił do swoich ulubionych zabaw, gdyby pozwolił się zaszczepić.

Chłopczyk oglądający książeczkę powiedział kotkowi, że on też nie chciał przyjść do przychodni, a wtedy jego mama przeczytała mu tę książeczkę. Chłopiec natychmiast postanowił iść z mamą do doktora Igiełki. Przyznał się Pimpusiowi, że jeszcze trochę się boi, ale w końcu to tylko krótka chwilka i można wytrzymać. Pimpusiowi zrobiło się lżej na duszy, bo dowiedział się, że inne dzieci też się boją szczepienia. Postanowił, że pokaże im, że to nic strasznego, i dzielnie wszedł do gabinetu. Pan Igiełka był bardzo zadowolony, że kotek nie płacze, nie krzyczy i nie wrywa się mamie. Powiedział, że jeśli się jest spokojnym, ukłucie mniej boli i lepiej się je znosi. Rzeczywiście, kotek nawet nie poczuł, kiedy pani pielęgniarka wbiła mu igłę. Uśmiechnięty i zadowolony wyszedł z gabinetu. Cała rodzina, bardzo dumna z Pimpusia, wróciła do domu, gdzie na kotka czekała drobna niespodzianka przygotowana wcześniej przez mamę.

Lidia Ippoldt



Franek i Todzia ...

(dla dzieci, którym urodziło się rodzeństwo)

Franek siedział na parapecie z nosem przy szybie okiennej. Ogromne oczy, niczym czarne węgielki, wpatrzone były w furtkę i wąski chodniczek, ciągnący się pomiędzy rabatkami kwiatów. Pluszowe uszy, choć nieruchome, uważnie nasłuchiwały, kiedy rozlegnie się szczekanie psa. Oznaczało to, że Ala wróciła ze szkoły, że już za chwilę odłoży ciężki tornister i zabierze misia z okiennego parapetu, na którym zawsze go sadzała przed wyjściem. Sadzała właśnie po to, by widzieć już z ulicy, że na nią czeka. Franek nie przepadał za siedzeniem pomiędzy doniczkami, z których wyrastały kolczaste kaktusy. Nie było to najmiłsze sąsiedztwo, ale bardzo cieszył go moment, w którym na horyzoncie majaczyły dwa warkocze dziewczynki lub kiedy w wietrzne dni dostrzegał jej powiewający, granatowy worek na buty. Powodowało to, że czekał na nią cierpliwie każdego dnia.

Franek wiódł szczęśliwe życie pluszowego misia. Nie jadł co prawda miodu, jak prawdziwe niedźwiedzie mieszkające gdzieś w górskich lasach, ale co rano dostawał zdrowe śniadanie, składające się z jarzynek ulepionych przez Alę z modeliny. Posiłek,

mimo pośpiechu Ali, podany był zawsze na wykwintnej plastikowej zastawie. Godziny, kiedy Ala była w szkole, Franek spędzał wpatrzony w okno.

Rodzice Ali nie mieszkali przy ruchliwej ulicy, zatem rzadko na zewnątrz działo się coś, co mogło przykuć jego uwagę, ale to mu nie przeszkadzało. Kiedy tylko dziewczynka wracała do domu, brała misia na ręce i zazwyczaj towarzyszył jej przy obiedzie. Słuchał wtedy cierpliwie o tym, że Ala dostała dobrą ocenę, albo że w szkole nie potrafiła odpowiedzieć na pytanie lub że któraś koleżanka powiedziała jej coś przykrego. Miał także swoje stałe miejsce na biurku, przy którym Ala odrabiała lekcje. Wpatrywał się uważnie w twarz dziewczynki, chcąc ocenić, czy może ma trudności z odrobieniem zadania, czy też dzisiaj pani nauczycielka zadała coś łatwego i wkrótce będą mogli się razem bawić. Każdego wieczora natomiast, opatulony ciepłym szalikiem, łaskoczącym go delikatnie miękkimi frędzlami, zasypiał w rogu łóżka Ali. Lubił tak leżeć, czekając w ciepłe, aż mała ręka dziewczynki dotknie jego miękkiego futerka. Wtedy jego pluszowe serduszko zaczynało bić mocniej. Czasem bał się, że z radości bije tak szybko i głośno, że może obudzić dziewczynkę.

Gdyby jednak ktoś pomyślał, że życie Franka jest nudne, nie miałby racji. Nikt, patrząc na tego niepozornego pluszowego misia, nie sądziłby nawet, jak wiele miejsc zobaczył. Zwiedził nie tylko całą okolicę, podróżując na bagażniku roweru, ale też w któreś wakacje wyjechał schowany w plecaku kolejką linową na Kasprowy Wierch. Czasem odwiedzał też mało przyjemne miejsca... Był między innymi u dentysty, gdzie siedział na olbrzymim fotelu na kolanach swojej towarzyszkii. Nieraz opuszczenie progów domu wiązało się z jakąś niemiłą przygodą. Kiedyś, kiedy Ala zabrała go ze sobą do ogródka i na chwilę zostawiła samego na kocu, podbiegł do niego wszędobylski jamnik Maks i pochwycił w zęby. Franek wystraszył się, że nie obejdzie się bez





operacji, bo – choć pluszowe niedźwiedzie nie boją się igły ani nitki – to jednak zawsze istnieje obawa, że przestaną podobać się dzieciom. Na szczęście operacja nie była potrzebna.

I tak oto Franek wiódł szczęśliwe i ciekawe życie, aż do dnia dziewiątych urodzin Ali. Wtedy, obok jego plastikowego talerzyka z warzywami z modeliny, pojawił się drugi, a naprzeciwko niego zasiadł mniejszy miś. I to – o zgrozo! – w sukience i z kokardą na głowie! Mały miś patrzył przestraszonymi, czarnymi węgielkami oczu i uśmiechnął się nieśmiało w stronę Franka, ale ten jakby tego nie dostrzegł.

– Miśka – pomyślał z niechęcią Franek.

Odtąd miśka zajmowała miejsce obok niego na parapecie. Najbardziej denerwowało go to, że Ala sadzała ją bliżej szyby i to na jego kolanach! Co więcej, często to ona była najpierw brana na ręce po powrocie Ali ze szkoły. To ona siedziała bliżej jej piórnika na biurku i to z nią musiał dzielić koczek z szalika. Tego było już za wiele, żeby jakaś dziewczyna leżała na jego pościeli! Szczególnie jednak zabolowało go jedno wydarzenie, które miało miejsce pewnego wieczora. Ala płakała, bo jakiś chłopiec w klasie zniszczył jej rysunek, który przygotowała na konkurs. Franek bardzo chciał ją pocieszyć, chciał, żeby chwyciła jego pluszową łapkę, aby mógł przekazać jej delikatnym uściskiem całą swoją pluszową miłość. Niestety w poświacie ulicznej latarni, wkradającej się przez zasłony, ujrzał, że ręka dziewczynki spoczywa na futerku miśki... Jakież to było dla niego przykre.

Miśka dostała imię Todzia. Franek z satysfakcją uznał, że imię jest tak głupie, jak i ona sama. Dla niego była po prostu miśką w paskudnej zielonej sukience i z okropną zieloną kokardą na pluszowym łebku. W ogóle była jakaś taka niezdarza, na wszystko patrzyła przerażonymi oczami i jego zdaniem przynosiła po prostu wstyd wszystkim niedźwiedziom. Franek nie potrafił zrozumieć, co Ala w niej widzi, że zabiera ją ze sobą, kiedy idzie



się bawić do koleżanek, nie rozumiał też dlaczego te wszystkie dziewczynki biorą ją na ręce i wożą w swoich wózkach dla lalek. Wielkodusznie postanowił tolerować Todzie, ale niczego jej nie ułatwiać.

Pewnego dnia, kiedy siedział wraz z Todzią na parapecie okiennym i czekał na Alę, po drugiej stronie szyby przysiadł czarno-biały ptak z długim ogonem.

– Popatrz, jaki ładny ptaszek! – ucieszyła się Todzia.

Franek odwrócił łebek w bok i spojrzał na Todzie. Kiedy zobaczył błysk zainteresowania i podziwu w jej małych, ciemnych oczkach, sam, nie wiedząc dlaczego, poczuł rozdrażnienie.

– Nie wiem, co ci się podoba w tym wielkim ptaku – odparł niby obojętnie. – Lepiej byś się trzymała od niego z daleka – dodał.

– Dlaczego? – zapytała zaciekawiona Todzia i utkwiała w nim przestraszone spojrzenie.

Franek dostrzegł, że ilekroć coś mówiła, albo o coś pytała, ta głupia zielona kokarda na głowie śmiesznie się ruszała pomiędzy jej uszami. Dlaczego tak bardzo go to denerwowało...? Musiał po prostu przyznać, że jej nie lubi.

– To sroka! Ten ptak porywa dziobem małe pluszowe misie, takie jak ty, i odlatuje z nimi tak daleko, że potem nie potrafią już same znaleźć drogi powrotnej do domu i trafiają gdzieś na wysypisko, gdzie nie ma żadnych dzieci, które by się nimi bawiły! – powiedział stanowczo Franek.

– Ojej! – mały niedźwiadek cofnął się ostrożnie i jakby odruchowo położył łapkę na łapce Franka, lecz ten nie przygarnął jej.

– Ale przecież ta sroka jest za oknem, więc chyba jesteśmy bezpieczni?

– Z nią nigdy nic nie wiadomo! Ona ma tak silny dziób, że w jednej chwili może wybić nim szybę i porwać cię – zapewniał złośliwie Franek.



Nagle podmuch wiatru za oknem sprawił, że potężne skrzydło ptaszyska uderzyło o szybę, a złowrogi dziób zastukał w okno.

– O nie! – zawołała Todzia i cofnęła się gwałtownie jeszcze raz, potrącając przy tym stojącą obok doniczkę.

Franek odwrócił się najszybciej jak mógł, żeby przytrzymać kolebiący się kaktus, ale zobaczył już tylko kupkę ziemi na podłodze pomiędzy dwiema skorupami rozbitej doniczki.

– Popatrz, co zrobiłaś! – krzyknął rozzłoszczony. – Wiesz, że nie wolno nam niszczyć niczego, co należy do Ali.

Todzia ukryła pyszczyk w małych pluszowych łapkach. Mała zielona kokardka poruszyła się na łebku, tym razem od płaczu.

– No pewnie, teraz się jeszcze rozplącz! Tylko to potrafisz! – Franek zeskoczył z parapetu i zaczął bezradnie przyglądać się pozostałościom doniczki.

– Ładnie, Ala za godzinę wróci ze szkoły... – powiedział zasmucony.

Wtem szloch nad jego łebkiem umilkł.

– Wiem, co można zrobić – odezwała się Todzia, zeskakując z parapetu i stając przy nim.

– Niby co? – powątpiewał Franek.

– Doniczka na szczęście rozbiła się tylko na dwie części. Możemy skleić te dwie skorupy – zaproponowała. – Ale będziemy musieli połączyć siły – dodała, nieśmiało patrząc z nadzieją na Franka.

Cóż, miś nie chciał głośno przyznać, że wpadła na świetny pomysł, i bardzo go korciło, żeby zaprotestować, że to się nie uda, ale czas naglił. Gdyby rzeczywiście jedno z nich posmarowało klejem skorupy, a drugie przytrzymało je na chwilę łapkami, to doniczka... powinna wyglądać jak nowa!

Tak też zrobili. Małe, zwinne łapki Todzi starannie pociągnęły klejem skorupy przytrzymywane przez większe i silniejsze łapki Franka. Doniczka została sklejona, ale należało posprzątać





ziemię. Todzia szybko ruszyła po miotłkę i zwinnie zgarnęła pył na szufelkę, którą trzymał Franek. Zdążyli jeszcze wspiąć się na parapet i przywitać Alę, która nawet nie zauważyła śladów bałaganu, a stojący w oknie kaktus nie wzbudził w niej żadnych podejrzeń.

Tego dnia Franek po raz pierwszy zauważył, że zdarzają się takie sytuacje, w których trudno poradzić sobie samemu. W miarę dzielenia dziecięcego pokoju z Todzią przekonywał się o tym coraz częściej. Musiał także przyznać, że wspólna praca i zabawa są po prostu przyjemniejsze. Przestało mu sprawiać przyjemność samotne podróżowanie na bagażniku roweru. Co z tego, że czasem łebek Todzi zasłaniał trochę widok, skoro można było potem porozmawiać o wszystkim, co się zobaczyło po drodze, a i wspólne czekanie na parapecie okiennym okazało się dużo ciekawsze i można było rywalizować, które z nich pierwsze dostrzeże powracającą dziewczynkę. Czas mniej się dłużył także wtedy, kiedy Ala długo głowiła się nad jakimś trudnym zadaniem i oczekiwanie na wspólną zabawę przeciągało się.

Z czasem Franek przekonał się też, że w plecaku, w którym podróżował z Alą, jest więcej miejsca, niż myślał, a upływ czasu powodował również, że już chyba nie potrafił wyobrazić sobie życia bez Todzi...

Marta Jurek



O Łatku, który unikał kąpieli

(dla dzieci, które nie lubią się myć)

Mijał już trzeci dzień od czasu, kiedy brązowo-biały wyżeł Łatek stanowczo odmówił kąpieli. Fakt, że jego panu nie udało się, jak dotąd, przekonać go do spokojnego poddania się strumieniowi zimnej wody oraz pianie z szamponu „Superkundel”, wzmagał w nim jeszcze buntownicze nastawienie i zagrzewał do dalszych uników. Kiedy tylko zobaczył na podwórku przygotowaną po raz kolejny drewnianą balię, a obok wiadro napełnione wodą i szczotkę, czym prędzej zawrócił i czmychnął przed siebie.

Po kilku godzinach bezcelowej włączęgi animusz Łatka nieco przygasł, wzmogło się za to, powodowane głodem, burczenie w brzuchu. Powrót do domu, zanim zapadnie zmrok, nie wchodził w rachubę. Oznaczałoby to zgodę na kąpiel i, niestety, poważny uszczerbek na honorze. Łatek postanowił zatem – bez niczyjej pomocy – poszukać jakiegoś jedzenia i ruszył w kierunku smażalni ryb. Przyszedł w samą porę. Przy stolikach ustawio-

nych przed smażalnią ostatni klienci kończyli jeść późny obiad. Ujrawszy przy jednym ze stolików kobietę z małym chłopcem, Łatek postanowił postawić wszystko na jedną kartę i użyć starych, psich sztuczek, by dostać coś do jedzenia.

– Nie znam dziecka, które by się oparło wystawionej prosząco łapie – pomyślał pewny siebie, siadając z niewinną miną przy nodze chłopca.

Chłopiec nachylił się nad psem i wymachując zachęcająco przed jego nosem kawałkiem ryby, zawołał radośnie:

– Popatrz, mammo, jaki ładny piesek!

Kobieta przerwała ożywioną dyskusję z sąsiadką i zwróciła się w stronę Łatka z uroczym uśmiechem, który zniknął z jej twarzy tak szybko, jak się pojawił.

– Wynoś mi się stąd, ty śmierdzący kundlu!

Łatek, który już poczuł w pysku smak smażonej ryby, odskoczył jak oparzony i odbiegł z podkulonym ogonem. Bał się podejść jeszcze raz do stolika, ale że kiszki grały mu już marsza, podbiegł na tyły smażalni. Słyszał zresztą na ostatnim psim zebraniu pod płótem, że czasem można tam znaleźć naprawdę niezłe kąski. Odgłosy na zapleczu wskazywały, że właśnie w najlepsze trwa zmywanie naczyń i usuwanie resztek. Ucieszył się, że zaspokoi głód i jednocześnie ocali honor, nie wracając na kąpiel. Wrócił do domu dopiero wtedy, gdy zapadł wieczór, i przemknął cichutko do swej budy.

Nastał czwarty dzień od czasu, gdy wyżeł Łatek nie poddawał się, jego zdaniem niezdrowym i niemiłym działaniom wody oraz szamponu. Zaraz z samego rana wypadł ze swej budy i ruszył przed siebie. Tym razem postanowił być jednak bardziej zapobiegliwy i na wypadek, gdyby odczuł głód, porwał ze sobą kość. Kiedy tak biegał wzdłuż drogi z potężną, smakowitą kością w pysku, a wiatr rozwiewał mu sierść, czuł, że świat staje przed nim otworem i że czeka go dobry dzień. Jakby na dowód tego na



najbliższym rogu ulicy spotkał swego dobrego znajomego, starego spaniela Dżekiego.

– Cześć, staruszk! Widzę, że minę masz nietęgą. Ha, ha! Co powiesz na wspólne pokopanie kości? – przywitał się Łatek.

Stary spaniel odmówił jednak dość pośpiesznie:

– Wiesz, może innym razem... nie gniewaj się, ale nie mam teraz czasu – i odbiegł czym prędzej.

– Dziwne – pomyślał Łatek, czując zawód. – Na stare lata już zupełnie zdziwaczał.

Postanowił jednak nie tracić dobrego humoru i pobiegł przed siebie dalej. Po drodze spotkał jeszcze wygrzewającego się na słońcu owczarka belgijskiego Rekxa, wielkiego amatora kości, grubego Azora i jednookiego Maksa. Wszyscy jakoś dziwnie nie mieli dziś czasu na wspólną zabawę i śpieszyli się do innych zajęć.

– Nie wiem, co mają lepszego do roboty? – pomyślał Łatek i położył się w końcu na trawniku. Zaczął samotnie obgryzać swoją zdobycz. – Taka wielka kość, naprawdę nie wiedzą, co dobre.

To już piąty dzień od czasu pierwszej i na razie jedynej próby kąpieli Łatka. Zniechęcony wczorajszymi odrzucanymi propozycjami wspólnej zabawy i nieco już znużony brakiem towarzysztwa, postanowił przejść się w okolice parku. W domu położonym najbliżej parku mieszkała bowiem urocza seterka Pusia.

Łatek spodziewał się, że o tej porze dnia urocza Pusia z pewnością będzie się wygrzewała przed domem na słońcu, i nie pomylił się. Kiedy tylko ujrzał jej lśniąca w słonecznym blasku sierść, zamerdał ochoczo ogonem.

– Cześć! Mogę się przyłączyć? – zapytał, przełaząc przez dziurę w ogrodzeniu.

Pusia popatrzyła w jego stronę, ale jej ogon nie zamerdał tym razem radośnie.



– Bawiłeś się gdzieś na wysypisku? – spytała, kierując swój wrażliwy psi nos w przeciwną stronę.

– Nie, a dlaczego pytasz? – wyciągnął się, wystawiając grzbiet do słońca Łatek.

– Przez chwilę myślałam, że to jakiś cuchnący tchórz. Kiedy ostatni raz twoja sierść widziała wodę i szampon? – zapytała Pusia.

Łatek wyprężył się dumnie:

– Wyobraź sobie, że już piąty dzień nie pozwalam się umyć!

Pusia podniosła pyszczek i spojrzała na Łatka z niedowierzaniem i przerażeniem zarazem:

– Jesteś z tego dumny? – zapytała.

– Jeszcze jak! Jestem poważnym psem i nie pozwolę z siebie zrobić jakiegos pieszczoszka! – odparł wyżej Łatek.



– Myślałam, że jesteś mądrzejszy. Zastanów się, co robisz
– dodała Pusia i odbiegła.

– Takie bywają kobiety – pomyślał Łatek i podrapał się łapą za uchem, bo nagle poczuł, że coś tam okropnie go swędzi.

Bunt Łatka trwał jednak dalej – zaczął się już szósty dzień, od kiedy zdecydował unikać mycia. Rozdrażniony głupim, babskim gadaniem Pusi, postanowił poprawić sobie humor, wybierając się na cotygodniowe spotkanie okolicznych psów pod płotem.

– Może znowu któryś zdradzi, gdzie można znaleźć coś smacznego do jedzenia albo będziemy wspólnie kopać doły – pomyślał i z wielkim entuzjazmem wyruszył na ustalone miejsce spotkania.

Pod płotem siedzieli już owczarek Reks, gruby kundel Azor i jednooki bernardyn Maks. Kiedy Łatek dosiadł się do nich, otaczające go towarzystwo zaczęło się przeredzać.

– O co wam chodzi?! – zdenerwował się Łatek. – Znowu was coś ugryzło?!

Zgromadzone psy spojrzały na siebie nieco zmieszane:

– Słuchaj – zaczął gruby Azor. – Jesteś fajnym kumplem, ale chyba przesadzasz...

Łatek popatrzył na nich pytająco:

– A co ja takiego wam zrobiłem?! To wy wczoraj nie mieliście dla mnie czasu, chociaż chciałem się podzielić kością!- krzyknął oburzony.

– Nie o to chodzi – uspokajał jednooki, dobroduszny Maks.

– Zawsze można na ciebie liczyć, ale ostatnio trudno wytrzymać w twoim towarzystwie...

– Chyba przydałoby ci się wiadro wody – włączył się Reks.

– Tak, po ostatnim spotkaniu z tobą Reks znalazł na swoim ogonie trzy pchły! – dorzucił Azor.

Łatek najpierw aż usiadł na tylnych łapach z oburzenia, a po chwili poczuł, że faktycznie coś znowu gryzie go w sierść. Zamaszystym ruchem podrapał się za uchem, po czym obraził się:

– Jeśli mnie nie chcecie, to nie. Nie potrzebuję takich kolegów jak wy!

I pobiegł przed siebie.

– Jak oni mogli mi powiedzieć, że jestem brudny! I to mają być prawdziwi koledzy?! To po prostu bezczelność! Ja im jeszcze pokażę, jak wygląda brudny pies! – pomyślał mściwie Łatek i jakby na przekór wszystkim ochlapał się w napotkanej kałuży, a potem wytarzał w błocie. Kiedy z zadowoleniem stwierdził, że zabrudził już wszystkie cztery łapy, a także ogon i grzbiet, nagle poczuł, że jakaś



tajemnicza siła odrywa go od ziemi i ciągnie do tyłu. Przerażony obejrzał się za siebie. Niestety, stało za nim dwóch pracowników schroniska dla bezdomnych psów!

– To jakaś pomyłka – wrywał się Łatek. – Ja nie jestem bezdomnym psem! Mieszkam kilka domów dalej, naprawdę! – krzyczał Łatek...

Mężczyźni nie rozumieli jednak jego tłumaczenia. Wymienili tylko między sobą pełne politowania spojrzenia:

– Biedny pies, chyba błąka się od dłuższego czasu, bo strasznie śmierdzi i jest bardzo brudny.

Nagle oczom Łatka ukazał się jego właściciel. Szedł smutny wzdłuż ulicy, rozglądając się na wszystkie strony i nawołując psa:

– Łatek! Łatek! Piesku, do domu!

Łatek zaczął jeszcze bardziej wrywać się pracownikom schroniska i szczekać donośnie.

– Jestem tutaj! Po drugiej stronie ulicy! Szybko! Ci dwaj chcą mnie zabrać do schroniska! – szczekał rozpaczliwie Łatek.



– Przepraszam bardzo, czy to nie pana pies? – pracownik schroniska zagadnął właściciela Łatka.

Mężczyzna przeszedł na drugą stronę ulicy i przyjrzał się uważnie psu:

– Trochę podobny... Nie, mój nie był taki brudny i cuchnący. To jakiś biedny włóczęga.

– To koniec! – pomyślał przerażony Łatek. – Nie rozpoznał mnie! Teraz już nic mnie nie uratuje!

W schronisku czekała już na niego drewniana balia i szczotka, a zamiast wiadra pełnego wody – o zgrozo! – ogrodowy wąż! Teraz już nie było o co walczyć. Bez oporu poddał się zimnym strugom wody, która powoli opłukiwała z niego całe błoto i kurz. Kiedy poczuł zimną bryzę na nosie, przyznał, że właściwie to jest nawet przyjemne uczucie. Trochę mniej podobało mu się ociekanie pianą od szamponu, ale w zasadzie prychanie i rozbijanie baniek mydlanych sprawiło mu niezłą zabawę. Był już teraz czysty, pachnący i wyczesany, ale co z tego, skoro siedział sam w malutkim kojcu i wiedział, że właściciel w końcu przestanie go szukać.

Następnego dnia z samego rana obudził go chrzęst otwieranych drzwi. Otworzył oczy i ujrzał zza krat kojca swojego właściciela. Mężczyzna przystanął dokładnie na wprost jego klatki i przyjrzał się mu uważnie:

– Tak, to jest jednak mój pies. Mój uparty, ale kochany Łatek! Teraz, kiedy państwo go umyliście, poznaję go bardzo dobrze!

Łatek radośnie zaszczeakał, pomachał ogonem i wysunął przez pręty czystą, lśniącą łapkę.

Jeszcze tego samego dnia wylegiwał się w słońcu na swoim własnym podwórku, obgryzając potężną kość. Ale, niestety, musiał się nią podzielić. Obok niego wylegiwali się także owczarek Reks, gruby kundel Azor i jednooki bernardyn Maks. Łatek nie wyglądał jednak na zmartwionego, że kość nie przypadnie tylko



jemu. Zawsze chętnie dzielił się z innymi, a dziś miał szczególny powód do świętowania. Odzyskał dom i starych znajomych, a także odkrył nową zabawę. Chodziło w niej o to, żeby rozbić nosem jak najwięcej baniek mydlanych, a to wymagało dużej ilości szamponu.

Był szczęśliwy. Kolejnego dnia był przecież umówiony na wycieczkę z seterką Pusią.

Marta Jurek

